



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

i

bieguna północnego,

przekład K. P.

(Dalszy ciąg).

Na „Speedy” tak w dzień, jak i w nocy trzymali straż oficerowie i majtkowie. Każda partya, a były ich cztery, zmieniała się w taki sposób, aby czas ich czuwania nie przypadał w jednych i tych samych godzinach. Ale trzeba być na morzu Lodowatym, aby wiedzieć co to jest noc spędzona na pokładzie statku, przy wietrze lub śnieżnej zadymce. Nie raz oczów otworzyć niepodobna, bo zdaje się, że powieki przymarzają. To też każdy wzdycha do kolei, kiedy całą noc spędzi w kajucie. Im dalej się jedzie na północ w porze jesiennej lub na wiosnę, dni stają się krótsze, i słońce wschodzi na to tylko, aby zakreśliwszy mały łuk, znow utonąć w morzu.

Wiatr pomyślny, który im towarzyszył od wysp Sztetlandzkich, nagle zmienił kierunek i zaczął dąć od północy, i „Speedy” musiał lawirować, przyczem fale uderzały z olbrzymią siłą w bok statku, powodując nieznośne kołysanie.

Fale wpadając na pokład obryzgiwały liny i żagle, które się prędko pokryły powłoką lodu, stały tak twarde, że manewr był prawie niemożliwy. Potem zaczął śnieg padać i byłby zasypał pomost po same burty, gdyby nie energiczne szufłowanie całej załogi, która w ten sposób starała się rozgrzać, bo i w kajucie pomimo ustawicznego palenia, było niezmiernie zimno.

Najcięższa chwila z całego dnia, była chwila udawania się na spoczynek. Na statkach grenlandzkich łóżka zastępuje rodzaj półek, ustawionych dokoła, jedynej kajuty. Każde z nich jest zaopatrzone w wełniane kołdry i futra, ale pomimo to, zanim się je rozgrzeje własnem ciepłem, mija nieraz godzina, i wtedy dopiero można zasnąć, aby nazajutrz, obudzwszy się znaleźć poduszkę pokrytą szronem z oddechu.



„Speedy” musiał lawirować...

II.

PIERWSZY NIEDŹWIEDŹ OLAF.—FOKI.

Kapitan Reynolds nigdy nie tracił nadziei, tę samą zaletę posiadał jego pomocnik Joe, więc kiedy się spo'ykali czy to na pokładzie statku, czy wieczorem w kajucie, jeden drugiego nie omieszkiał pocieszać.

— Dzisiejsza pogoda długo nie potrwa — mówił Joe.

— Naturalnie, musi się zmienić.

— Już mamy ten wiatr od dziesięciu dni.

— Jutro zapewne ucichnie. Uważałem nawet, że się niebo przeciera na zachodzie.

Na to obydwaj się roześmieli, tak radośnie, jak gdyby ich największe powodzenie spotkało.

Jednego ranka, wszedł Joe do kajuty zacierając ręce i mrugając na kapitana.

— Co się stało? — zapytał Reynolds, który tylko co usiadł do kawy.

— Stało się, że termometr idzie w górę, a wiatr opada. Za parę godzin będziemy mieli południowy wiatr i polecimy naprzód.

— Siadaj Joe, siadaj, wypocznij sobie; więc doprawdy pogoda się zmienia. Teraz napewno będziemy pierwsi, bo inne statki także ucierpiały od tego wichru, tylko więcej na południu, gdzieś około Szetlandów.

Zdawało się istotnie, że szczęście zaczęło sprzyjać Speedy. Słońce wyjrzało z za chmur i dni stawały się coraz dłuższe. Teraz jedyne niebezpieczeństwo jakie zagrażało wyprawie, była cisza morska, która zwykle następuje przy zmianie wiatru.

Istotnie, pewnego ranka budząc się nasi przyjaciele usłyszeli przelewanie się fal dokoła statku, lecz ruchu żadnego nie czuli. Była to cisza morska, i biedny Speedy wbrew nazwie swej stał nieruchomy wpośród ciemno-szafirowego oceanu.

Na domiar złego podniosła się z morza mgła tak gęsta, że na tyle statku nie widać było, co się dzieje na przodzie, termometr wskazywał dziesięć stopni niżej zera, i chłód był tak przejmujący, że pomimo ciepłych okryć i futer, tylko konieczność wypędzała marynarzy na pokład.

Kapitan Reynolds skorzystał z ciszy aby założyć bocianie gniazdo. Jest to duża deska, którą się przytwierdza do wielkiego masztu, o wiele wyżej ponad wszystkie reje, i aby się do niej dostać, trzeba wlaźć po tak zwanej Jakóbowej drabinie, co wymaga niezwykle mocnej głowy. Kto cierpi na najłżejszy zawrót, spadnie bezwątpienia. Kiedy morze spokojne, to jest jeszcze jako tako, ale niech powieje wiatr trochę silniejszy, niech wielki maszt, a z nim razem bocianie gniazdo zahuści linki we wszystkich kierunkach, wtedy dostać się do niego potrafi tylko bardzo wygimnastykowany marynarz.

Olaf przyzwyczajony do wchodzenia na największe wysokości, spędzał większą część swojej straży w gnieździe, ale Collin nie od razu się do niego dostał.

— To nic — rzekł do Olafa i Joe, którzy się z niego wyśmiewali — po obiedzie zobaczycie mnie na górze. Nie udało mi się pierwszy raz, musi udać drugi.

Dotrzymał słowa, i gdy się wsunął do beczki przez otwór w dnie, powitał stojących na dole, wołając:

— Hop! hop! jużem wszedł! Jacy wy mi się mali wydajecie! Jak muchy!

Rozejrzał się dokoła po morzu, następnie wziął lunetę i zaczął bacznie studyować horyzont.

O kilka mil na północ dostrzegł białą linię, i kiedy się jej uważniej przypatrzył, okazało się, że jest to ławica drobnych gór lodowych.

Uszczęśliwiony, że ma coś do powiedzenia, złożył ręce w trąbkę i zawołał:

— Na pokład!

— Co się stało? — zapytał Joe.

Ławica lodu przed nami.

— Dziękuję.

I na tem się skończyło, bo ku wielkiemu zdziwieniu Collina, Joe, nie myślał więcej o lodowych górach, nie zmienił kierunku drogi, i w pół godziny później statek znalazł się pomiędzy niemi.

Były to bryły nie większe od zwykłego wozu. Całe pokryte śniegiem i oszlifowane, przez tarcie jednych o drugie. Pomimo nieznaczących rozmiarów, uderzyły o statek z taką siłą, że nasz młody przyjaciel kilka razy o mało nie wypadł z bocianiego gniazda. Speedy wytrzymywał te uderzenia ze stoicznym spokojem, płynął naprzód niesiony przez fale, i niebawem znalazł się po drugiej stronie rzeki lodu.

Nad wieczorem powierzchnia morza pokryła się drobnymi fałdami, podniósł się lekki wiatr i Collin czując, że go nie ominie zawrót głowy, postanowił zejść na pokład.

Łatwo postanowić, ale wykonać trudno. Otworzył drzwiczki na dnie beczki, wysunął jedną nogę i zaczął szukać drabiny Jakóbowej. Ale nigdzie nie napotkał szczebla. Była to ciężka chwila, ale nasz przyjaciel powiedział sobie, że kto się nie naraża, ten nic zyska, spuścił drugą nogę i tym razem dotknął szczebla. Jednak całe życie pamiętał tę niebezpieczną przeprawę.

— W porę zeszedłeś — zauważył Joe — gdybyś został trochę dłużej, musiałbyś spędzić noc w bocianiem gnieździe. Istotnie, wiatr się wzmacniał tak, że rozpięto wszystkie żagle.

W ten sposób płynęli przez cały tydzień, aż pewnego ranka ujrzeli białą, błyszczącą linię na horyzoncie i kapitan rzekł, do Collina, zacierając ręce:

— Widzisz to niebo?

— Tak — rzekł Collin, nie mogąc zrozumieć skąd ta radość pochodzi.

— To blask lodu, wkrótce dopłyniemy do samego pola.

Ale słońce zaszło jaskrawo za falą, a pola lodowego nie było widać.

Z kolei wypadło, że Collin całą tę noc spędził w kajucie. Zeszedł na dół o ósmej i po kolacyi położył się spać, marząc, że wkrótce nie tylko zobaczy ławicę, ale nawet będzie po niej chodził.

Nazajutrz rano, Speedy płynął wzdłuż lodowego pola i Collin wyszedłszy na pokład ujrzął niezmierzoną przestrzeń pokrytą śniegiem. Od tej białości morze udawało się o wiele ciemniejsze i bardziej szafirowe, miejscami zaś przybierało barwę prawie czarną. Daremnie jednak wypatrywał gór lodowych o których tyle się nazytał i nasłuchiwał; brzeg ławicy wznosił się zaledwie o kilka stóp nad powierzchnią morza i był ostro ucięty. Między okrętem zaś a brzegiem, leżało ciemne morze. Trzeba przyznać, że nasz bohater był mocno rozczerzany tym widokiem, on, co się spodziewał niebotycznych gór. Joe, patrząc na niego, zapytał:

— Co się stało? Dla czego jesteś taki smutny?

— Nic się nie stało, ale ja się spodziewałem widzieć lód; ten sam widok mam na pierwszym lepszym szkockim bagnie.

— Spójrz tam — rzekł Joe, wskazując wzgórek. — Teżo chyba nie widziałeś w Szkocji.

Collin wyteżył wzrok w tym kierunku i ujrzał niebawem olbrzymiego białego niedźwiedzia.

— O! — zawołał kapitan Reynolds, zbliżając się do nich — zapolujemy! Spuścić czołno na morze.

— Pan mi pozwoli przyłączyć się także do polowania — rzekł Olaf, patrząc niespokojnie na kapitana, czy mu nie odmówi.

— I owszem, mój chłopcze, ale muszę cię uprzedzić, że polowanie na niedźwiedzia, jest rzeczą zawsze niebezpieczną, a zwłaszcza teraz, kiedy jest wygłodzony kilkomiesięcznym postem. Miałeś dowód na twoim biednym ojcu.

— Ja też sobie powiedziałem, że muszę zastrzelić niedźwiedzia, który mojego ojca zabił. Może to właśnie ten sam.

— Zkąd ci to przyszło do głowy?

— Wiem, że niedźwiedzie żyją po dwadzieścia lat, więc mój niedźwiedź albo żyje, albo zginął naturalną śmiercią, bo Sigurd wie o wszystkich niedźwiedzich skórach, które przywożono do Anglii albo do Norwegii, a ten był zraniony w sposób tak widoczny, że go każdy mógł poznać. Niech mi pan pozwoli iść pierwszemu.

Kapitan nie mógł odmówić prośbie chłopca, ale postanowił być zawsze blisko, aby mu nieść pomoc w potrzebie.

(d. c. n.)

CUDA ZIMY.

Ma wiosna swe chmury, ma zima swe wdzięki,
Co szorstkie jej zdołają koleje,
I powab odrębny z Opatrznej tej ręki,
Co cuda swe wszędzie nam sieje.

Gdy słońce zimowe świat martwy ozłoci
I zajrzy przez szyby ogniście,
Zostawia w przechodzie gałązki paproci,
Kaktusów i dziwnych palm liście.

A kiedy na nowo zatonie gdzieś w chmurze,
Gdzie mgły je pospępnie zasuną,
Cud cudów — gwiazdeczki, powstałe tam w górze,
Jak roje pszczoł białych przyfruną.

A czyli to słonka promyczek już wschodzi,
Lub mignie twarz jasna księżycą.
Wzrok ludzki, tonący w brylantów powodzi,
Ściel śnieżna swym blaskiem zachwyca.

A czasem, gdy ze tła jasnego błękitu
Ustąpią szarawe obłonki,
Szron drzewa i krzaki od stóp aż do szczytu
Przystroi w perłowe koronki.

To jakiś niezwykle krajobraz się złoży,
Co urok odrębny posiada;
A wobec tych cudów duch ludzki się korzy,
I Stwórcy podziwu hołd składa.

* * *

St. Kramsztyk.

POD ŚNIEGIEM I POD LODEM.

(Dokończenie).

Woda więc zachowuje się inaczej aniżeli rtęć, alkohol, lub wreszcie jakiegokolwiek inne ciało. Każda inna ciecz, każde inne ciało, im bardziej je oziębamy, tem też bardziej się kurczy; woda zaś kurczy się tylko, dopóki nie oziębi się do 4°, gdy zaś temperatura jej jeszcze się bardziej obniża, jeszcze dalej opada, woda już dalej objętości swej nie zmniejsza, ale od tego punktu znowu się rozszerza. Zkąd osobliwe to zjawisko pochodzi, dlaczego woda w tak wyjątkowy zachowuje się sposób, trudno to wytłomaczyć. Wiemy jednak, że przy nieco dalszem oziębianiu, gdy temperatura wody schodzi niżej zera, traci ona stan swój ciekły, krzepnie, przeobraża się w lód; prawdopodobnie więc przy temperaturze 4° zaczyna się ona już do nowego stanu swego przygotowywać, cząstki jej układają się inaczej, tworzą się już drobnutki igiełki lodowe, które wkrótce zbić się mają w jedną, zakrzepłą bryłę lodową, a to wpływa na przyrost jej objętości.

Gdyby nas zapytano, kiedy ma najmniejszą objętość rtęć, alkohol, lub wreszcie żelazo, albo też jakiegokolwiek inne ciało, nie moglibyśmy na pytanie to dać odpowiedzi, gdyż objętość ta zawsze tem jest mniejsza, im niższą jest temperatura, im ciało to jest zimniejsze. Jeżeli jednak o wodę idzie, powiemy, że posiada ona najmniejszą objętość wtedy, gdy temperatura jej wynosi cztery stopnie. Gdy bowiem, od temperatury tej od tego stanu ciepła poczynawszy, ogrzewać ją będziemy, będzie się ona rozszerzać, a gdy ją oziębamy, rozszerza się również. Woda więc posiada tę szczególną własność, że w temperaturze czterech stopni ma objętość najmniejszą.

Z zasady tej wypływa dalszy jeszcze wniosek. Im bardziej ciało objętość swą zmniejsza, im silniej się kurczy, tem też silniej skupiają się jego cząstki, tem gęstszem się ono staje. Według tego zatem woda jest najgęstszą, gdy posiada temperaturę czterech stopni; czy to bowiem ją od tego punktu ogrzewamy, czy też oziębamy, w każdym razie rozszerza się, staje się rzadszą, lżejszą stosunkowo.

Znając zaś tak wyjątkową własność wody, przypomnijmy sobie tylko jeszcze, że gdy dwie różne cieczce mniemy, cięższa opada ku dołowi, lżejsza zaś zawsze w górę wypływa, jak to dostrzegamy najłatwiej, gdy kropla oliwy do wody się dostanie. Oliwa, jako lżejsza, na wierzch wypływa.

Podobnie więc dzieje się też, gdy wodę ciepłą z zimną razem zlewamy; zanim zmieszają się zupełnie i zanim temperatura jednostajną się stanie, zajmuje woda zimniejsza dolną część naczynia, gdy woda cieplejsza i lżejsza ponad nią się gromadzi. Ale i w naturalnych zbiorowiskach wody, w jeziorach, rzekach, temperatura zwykle nie jest jednostajna, i tam więc istnieć muszą podobne prądy wody cieplejszej i zimniejszej.

Gdy po skwarach lata dnie następują chłodne, wraz z powietrzem oziębia się też woda w jeziorach i rzekach. Zarzucić musimy kąpiele, które niedawno jeszcze tak były rozkoszne. Temperatura wody wynosi już tylko dziesięć, dziewięć, ośm, siedm stopni. Październik, listopad — jesień coraz cichsza, głuchsza, woda bardziej się jeszcze oziębia, dalej jeszcze stygnie. Woda wszakże jest złym przewodnikiem, stygnie więc głównie na swej powierzchni, górne bowiem warstwy stanowią dla warstw dolnych ochronę od utraty ciepła. Górne tedy warstwy wód jeziora oziębiają się już do 6°, gdy w warstwach dolnych panuje jeszcze temperatura 7°; stan wszakże taki rzeczy utrzymać się nie może, woda bowiem chłodniejsza posiada większą gęstość, jest cięższa, opada więc na spód, gdy woda cieplejsza w górę wypływa. W tej chwili dolne warstwy wody posiadają temperaturę 6°, górne zaś temperaturę 7°, ale te znowu stygną, a po pewnym czasie

wszystka woda jeziora ma temperaturę jednostajną 6°. Słońce wszakże coraz słabiej dogrzewa, powietrze wciąż się oziębia, woda tedy na powierzchni swej dalej stygnie, temperatura warstw górnych opada do 5°, gdy na spodzie utrzymuje się jeszcze 6°. Znowu więc, jak poprzednio, woda chłodniejsza przenosi się na dno jeziora, gdy w górę przepływa woda mająca temperaturę 6°, która przy zbliżającej się zimie oziębia się do 5°, a następnie do 4° i opada z kolei na dno, by ustąpić miejsca wodzie cieplejszej, posiadającej temperaturę 5°. Wkrótce górna ta warstwa oziębi się do 4°, a potem i do 3°, ale teraz nie powtórzy się już przebieg dotychczasowy; woda chłodniejsza utrzyma się na powierzchni, a na dnie

Znaczenie dwu tych rzędów liczb pojmie łatwo każdy, kto ustęp poprzedni uważnie odczytał.

W rzekach ruch wody płynącej sprowadza zawikłanie większe, ale ostatecznie i tam pozostaje pod powłoką lodową woda bieżąca, mająca temperaturę 4°. Lód jest złym przewodnikiem i chroni ją od dalszego ziębnienia; warstwa lodu narasta wprawdzie zwolna, grubieje, ale podczas najsroźszej nawet zimy, przy długotrwałych nawet mrozach, woda na dnie przechowuje stateteczną swą temperaturę czterech stopni. W wodzie tak chłodnej nie chcielibyśmy się zapewne kąpać, ale zimnokrwistym rybom służy ona wybornie i przechowują w niej życie swe przez zimę, na pociechę własną i na



Budynek panoramy Tatr.

pozostanie woda mająca temperaturę 4°, wiemy bowiem, że w tej temperaturze woda ma gęstość największą, jest więc cięższa od wody warstw górnych, chociaż ta jest od niej chłodniejszą. Podczas zimy woda na powierzchni jeziora oziębia się dalej, posiada już temperaturę tylko 2°, 1°, a potem marnie nawet i w lód się ścina, ale pod tą skorupą lodową pozostaje woda nie zmarnięta bynajmniej, utrzymująca się statecznie w temperaturze czterech stopni.

Całe to opowiadanie, nieco rozwlekłe, da się przedstawić treściwie, jeżeli wypiszemy kolejno temperatury, jakie przybiera woda w górze i na dnie jeziora:

Temperatury kolejn.

w górze : 7° 6° 7° 6° 5° 6° 5° 4° 5° 4° 3° 2° 1° 0° lód
na dnie : 7° 7° 6° 6° 6° 5° 5° 5° 4° 4° 4° 4° 4° 4°

pociechę człowieka, który wyobraża sobie, że te wszystkie karpie i karasie, liny i szczupaki na to są tylko stworzone, by na jego półmiskach i talerzach występowały.

Nasiona więc w łonie ziemi i ryby w wodzie w samych prawach przyrody znajdują ochronę od mrozu. I nam sroga zima nieraz daje się we znaki. Ale człowiek posiada rozum, by wynajdywał środki, osłaniające go od dotkliwych skutków zimna. Posiada on i serce litościwe, by pamiętał o losie tych biednych dzieci, których rodzice w opał i odzież ciepłą zaostrzyć nie są w stanie.

TATRY.

Wszyscy znają ładną bajeczkę o chłopcyku, któremu mama dała pieniądz na zwiedzenie panoramy, a który, spotkawszy na Miodowej ulicy starego kalekę „obraz nędzy i rozpacz”, proszącego o jałmużnę, dał mu wszystko, co od mamy otrzymał.

Bajeczka jest dość starą, a to, co przed pół wiekiem nazywano panoramą, wcale nie było podobnem do dzisiejszych wspaniałych naśladownictw natury. Dawniej najczęściej panoramą nazywano dioramę, to jest obraz, na który patrzy się

turalnie może być lepiej lub gorzej wykonana i z tego powodu czyni większe lub mniejsze wrażenie.

Panorama Tatr, którą mamy obecnie w Warszawie, należy do bardzo pięknych i przenosi nas też w sam środek gór na wyżyny, na których już niknie wszelka roślinność, a zaledwie gdzieniegdzie widać wątłą kosodrzewinę. Wśród nagich skał w rozpadlinach bieleją wieczne śniegi, a chmury pełzają gdzieniegdzie po przełęczach albo też rozdzielają się o wystające szczyty.

Zwiedzający panoramę wchodzi wprzód do przedsionka i zstępują w dół na wysokość kilkudziesięciu wschodów, gdyż muszą przejść pod terenem, złożonym ze skał i rozpa-



Na panoramie Tatr szczyt „Miedziane”.

przez stosownie ustawione szkła, które rzeczywiście dać mogą pojęcie natury, zawsze jednak patrzy się na nie jak na obraz, który pokazuje nam tylko część całości, chociażby to czynił najwierniej. Panorama Tatr, jak w ogóle panoramy, znajdujące się dzisiaj w wielkich stolicach, przenoszą nas w sam środek jakiegoś krajobrazu lub akcji, jeżeli idzie o przedstawienie jakiej bitwy jak np. bitwa pod Berezyną. W okół okrągłego budynku, specjalnie na ten cel przeznaczonego i oświetlonego z góry, rozmieszczone jest w koło olbrzymie prawdziwie płótno, przedstawiające tak krajobraz, jak rozgrywające się sceny. Płótno to połączone jest z platformą, na której znajdują się widzowie, przedmiotami rzeczywistymi, które sztucznie dopasowane do rozwieszonego obrazu łączą się z nim i dopełniają złudzenia.

Taką jest techniczna strona każdej panoramy, która na-

dlin, które otaczają platformę. Następnie ciemnym korytarzem dochodzi się wschodów, wiodących na platformę, i tu nagle, jakby za dotknięciem laski czarodziejskiej, znajdują się przeniesieni do górskiego krajobrazu, oddanego z największą prawdą. Patrząc, zdaje się, że powinniśmy słyszeć szum potoków, świst wichru i echa, jakie każdy spadający kamień, każdy odgłos stóp lub głosów ludzkich budzi wśród tych ponurych samotni, zamieszkanych tylko przez orły i kozice.

Artyści, którzy malowali Tatry, wybrali po długiem wahaniu miejscowość, zwaną „Miedziane”, płaskowzgórze stąd roztacza widoki na najpiękniejsze i jeziora, jak „Morskie oko”, „Rysy”, „Krywań”, „Wysoka”. Górą, umyślnie do panoramy sprowadzeni, objaśniają zwiedzającym miejscowości i służą im za przewodników w tej wędrówce wzroku po prześlicznych górach i dolinach.

Ażeby tak wiernie odmalować widok, roztaczający się z „Miedzianego”, trzeba było zbierać szkice na miejscu. To też główny twórca panoramy, Stanisław Janowski, przez kilka miesięcy przebywał na tej wysokości, usiłując bez względu na ciągłe zmiany atmosfery, nieustanne ulewy, często zdarzające się śnieżyce i burze, wreszcie okropne wichry, właściwe podobnym miejscowościom, pochwycić ich wierny wizerunek. Była to praca trudna i nużąca nad wszelki wyraz, która oprócz wytrwałości wymagała wielkiego zapasu sił i zdrowia, bo artysta musiał stale przemieszkować w schronisku nad Morskiem okiem, zbudowanym jedynie na to, ażeby w nim podróżni przespać się i wypocząć mogli, ale które nie może odpowiedzieć najskromniejszym nawet wymaganiom, przez czas dłuższy zwłaszcza, że i żywić się trzeba tem, czem żywią się pastarze, zmuszeni przebywać z trzodami na takich wyżynach.

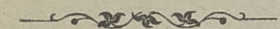
Janowski szczęśliwie ukończył przygotowaną pracę zdejmowania szkiców, które następnie w Monachium z pomocą grona artystów: Radziejowskiego, Mańkowskiego, Wankiego i Bollera przenosił na ogromne płótno. Przy tej pracy monachijski malarz Boller spadł przypadkiem z rusztowania i zabił się.

Śmierć podobna była udziałem niejednego artysty, który, malując sklepienia i kopuły kościelne, zapominał gdzie się znajduje i życiem nieostrożność swą przypłacił.

Malowanie samego płótna trwało blisko dwa lata, następnie przywieziono je do Warszawy, gdzie umyślnie zbudowano okrągły budynek na Dynasach przy ulicy Oboźnej, na ponieszczenie panoramy. Tu znowu praca Janowskiego trwała około sześciu miesięcy. Trzeba było płótno rozwiesić i już w właściwym oświetleniu doprowadzić do ostatecznego wykończenia, a ponieważ specjalista, przywieziony z zagranicy, budował teren, należało z nim zharmonizować olbrzymi obraz.

Ostatecznie piękne dzieło dokonaniem zostało w Warszawie i można nie wyjeżdżając za rogatki, znaleźć się odrazu w Tatrach i bez trudu, bez niebezpieczeństwa podziwiać ich piękność.

Dla dopełnienia złudzenia malarze na przełęczy przedstawili grono turystów, pomiędzy którymi znaleźć nietrudno dobrze znane, zarówno w Tatrach jak w Warszawie, osoby. Trzeba więc iść zobaczyć to piękne i ciekawe dzieło, które zwłaszcza przy objaśnieniach górali, dobrze obznajomionych z miejscowością, daje poznać całą jedną tatrzańską okolicę tak dobrze, jak gdybyśmy naprawdę w niej byli.



MARYA ŁOPUSZAŃSKA.

NA PUSTYNI.

(Dalszy ciąg).

— Nazajutrz rzeczywiście Janka udała się z panią Wilczewską do babci, która mieszkała w małym pokoiku w oficynie. Zostały ją siedzącą na fotelu przy oknie, na którym stały wazoniki i wisiała klatka z ptaszkami. Staruszka powitała Jankę bardzo serdecznie i powiedziała, że widywała niedługo jej matkę. Gdy pani Wilczewska poszła do gospodarstwa, zostały same we dwie w białym, czystutkim pokoiku, pełnym świegotu ptaszków i oświetlonym lampką migoczącą przed obrazem.

— Powiedzże mi, moje dziecko (bo pozwoliś się tak nazywać staruszcze) co myślisz robić całymi dniami, bo tutaj wszyscy zajęci od rana do wieczora więc się będziesz nudziła, w moim tylko towarzystwie — ozwała się babcia, patrząc

na dziewczę z uśmiechem, który mile rozjaśniał jej twarz pomarszczoną.

— Nie wiem, proszę pani — odrzekła Janka, cokolwiek zmieszana, jeszcze sobie nie ułożyła zajęć: Mam książki, będę czytała...

— Książki, to bardzo dobrze, ale to nie wystarczy na cały długi dzień, taka panienka jak ty silna i młoda, powinna jeszcze jakieś inne zajęcie sobie wynaleść. Tyle jest pracy na świecie...

— Proszę pani ja przecież tu na odpoczynek przyjechałam — odrzekła Janka zdziwiona i nieśmielona słowami babci.

— Odpoczynek, a po jakiej pracy — zapytała ta poważnie.

Janka spuściła oczy, bo właściwie nic nie robiła po skończeniu pensyi tylko się bawiła ciągle. Nie śniła jednak powiedzieć tego, wobec ludzi owych pracujących od rana do nocy.

— Odpoczynek należy się tylko tym, którzy pracują — ozwała się babcia, po chwili milczenia — więc jeżeliś pracowała, to wypocznij, lecz jeżeliś się tylko bawiła, to spróbuj u nas czem się zająć, a zobaczysz, jak ci będzie wesoło i przyjemnie, bo człowiek bez zajęcia zawsze się nudzi i jest niezadowolony...

Janka uczuła w duszy prawdę słów tych gdy sobie przypomniała jak się czuła nieraz znudzoną w zimie, w czasie największych zabaw i rozrywek.

— Ale cóż ja mogę robić, proszę pani? — spytała wreszcie z niedowierzaniem.

— Patrz, szukaj naokoło siebie, a znajdziesz robotę — odrzekła babcia z uśmiechem — kto chce, ten zawsze znajdzie coś do zrobienia.

— Widzisz, moje dziecko — zaczęła mówić po chwilo-
wym milczeniu — masz tutaj wokoło siebie ludzi zapracowanych, którzy wydali ci się może nawet zdziwczymi w pierwszej chwili. Rzeczywiście bardzo mało czytają, bo nie mają na to czasu, ani spokojnej myśli, a ciągle obcowanie z ludźmi prostymi wyrobiło w nich pewną szorstkość i zaniechanie, ale czy można się temu dziwić skoro się spojrzy na ciężkie warunki w jakich się znajdują. Wszak gdyby nie niestanna praca twego wuja i ciotki, dawno już Hołoskowce byłyby sprzedane obcym ludziom. Mając tak ważny obowiązek do spełnienia jak utrzymanie się przy majątku rodzinnym, musieli wszystko dla tego poświęcić. Czy ty myślisz, że to z niczego wuj twój posiadał tak wcześnie, a ciotka się postarzała i nabrała obejścia, które cię razi zapewne? Oj moje dziecko, pamiętaj o tem, że życie nie pieści i że jest w niem dużo twardych obowiązków do spełnienia.

— Ale w czem ja babciu... pani — mogę im być pomocą? — spytała Janka nieśmiało.

— Dziękuję ci, żeś mnie nazwała babcią — rzekła staruszka z uśmiechem. — W czem możesz być pomocą, zaraz ci powiem. Spozregłś zapewne jak ci ludzie są zapracowani, jak nie mają czasu na nic, — ty młoda, nieobarczona troskami, wykształcona, — bo podobno nawet grasz i śpiewasz, mogłabyś przyjemnie im niejedną chwilę wypoczynku a tym sposobem stać się pożyteczną. Czyż to nie jest trudne zadanie stać się promykiem słońca dla swego otoczenia, powiedz? Z początku może ci będzie trudno, ale z czasem obaczysz jak pokochasz swoją rolę słońca.

— A więc dobrze, babciu — odrzekła Janka, całując staruszkę w rękę — tylko niech mnie babcia nauczy, jak ja mam być tem słońcem.

— A cóż to, ja, stara, mam uczyć ciebie młodą, jak masz być miłą i uprzejmą dla otaczających. Jestem pewną, że sama to potrafisz, bez niczyich rad.

— Sprobuje — odrzekła Janka figlarnie.

— Oj, ty, warszawianko, potrafisz ty zawrócić głowę nam wszystkim, gdy się o to postarasz — rzekła babcia, głaszcząc ją po twarzy.

Wieczorem Janka nie czekając, żeby ją o to proszono siadła do fortepianu i zagrała wujkowi mazurka Szopena, a potem zaśpiewała parę piosenek. A że miała głos miły choć niewielki, więc jej śpiew mógł sprawić prawdziwą przyjemność każdemu, nie tylko ludziom pozbawionym od tak dawna muzyki. Pan Wilczewski był w zachwycie, a nawet chłopcy powysuwali się z różnych kryjówek, by posłuchać śpiewu kuzynki, od której dotąd uciekali jak od ognia.

— Słownie, moja droga Janko — rzekł wuj całując ją w czoło — sprawiłaś mi przyjemność, jakiej oddawna nie znałem. Niegdyś przed laty sam grywałem trochę, ale cóż, gospodarstwo i kłopoty różne tak mi czas zajęły, że musiałem tego później zupełnie zaniechać.

Twarz mu się rozjaśniła i na chwilę, pod wpływem muzyki, stał się zupełnie innym jakby odmłodzonym.

— To moje dzieło — pomyślała Janka i jakaś nieznaną dotąd pociecha nappełniła jej serce. Postanowiła, że od-tąd co wieczór będzie grywała i śpiewała wujowi.

„Horda tatarska”, jak pan Wilczewski nazywał swoich synów, po całych dniach grasowała w pobliskim lesie, tylko dwaj starsi, Miecio i Józio, pod kierunkiem Władka, przez czas wakacji zaprawiali się potrosze do gospodarstwa. Z kuzynką nieco zaczęli się oswajać i już nie uciekali na jej widok w burzany, jak to dotąd czynili, a nawet Jaś, najmłodszy, liczący obecnie lat sześć, dał się wyciągnąć na rozmowę i opowiedział Jance, że mu woźnica zrobił nowy, prześliczny batog i że przyjechał wczoraj na furce siana. Ale starsi chłopcy trzymali się zdaleka, uważając za rzecz niegodną mężczyzny rozmawiać z panienkami, które nie umieją ani bawić się w piłkę, ani w żołnierzy.

Pewnej niedzieli do Hołoskowiec przybył gość niespodziewany, był to Wiktor, kolega szkolny Władka, teraz znajdujący się na pierwszym kursie w uniwersytecie i jako student, patrzący trochę z góry na towarzysza, który wcale nie miał zamiaru iść do uniwersytetu. Znać też było po nim, że przebywa wciąż w wielkim mieście, obojętnie jego było łatwe, rozmowa pełna dowcipu. Władek przy nim wydawał się jeszcze niezgrabniejszym.

Jance było bardzo przyjemnie, że przyjechał ktoś nowy, mogący ją zabawić rozmową do jakiej była przyzwyczajoną. Pan Wiktor też przez cały czas zwracał się prawie wyłącznie do niej jak gdyby tylko ją jedną uważał za zdolną go zrozumieć. Opowiadał jej o teatrze, o operze, o książkach nowych, bawił ją rozmaitemi dowcipami, uwagami, a Janka słuchała go ożywiona i wesoła. Gdy Władek się odezwał parę razy, Wiktor zbył go w sposób nieco lekceważący, a nawet złośliwy, zapytując go natychmiast o jakieś gospodarskie szczegóły, dając tym do poznania, że tylko o takich rzeczach może mówić. Janka, chociaż żal jej było trochę kuzyna, śmiała się jednak serdecznie, gdy pan Wiktor żartował z wiejskich gospodarzy, którzy o niczem nie umieją mówić, tylko o pszenicy i hreczce.

Młody człowiek pozostał aż do wieczora w Hołoskowiecach, po jego odjeździe wuj odezwał się;

— Ciekawym, czy dużo jest u nas młodzieży podobnej do Wiktora?

— Dlaczego wuj o to pyta? — zagadnęła Janka.

— Bo jeżeliby tak było, to nie byłoby to wcale pocieszającym dla naszego społeczeństwa — odrzekł wuj poważnie. — Wiktor bowiem jest zarozumiałcem i blagierem, uczy się źle i wciąż sprawia kłopot rodzicom, którzy z uszczerbkiem dla innych dzieci łożą na jego wykształcenie, ponieważ w dzieciństwie okazywał wielkie zdolności. Ale cóż po zdolnościach, gdy się jest próżniakiem. Co do mnie, to ponieważ nie stać mnie na to by dać wyższe wykształcenie naukowe moim chłopcom, a nie chcę kształcić jednego z krzywdą reszty, powiedziałem sobie, że każdy z nich musi przejść szkoły, a potem jeśli poczuwa się do sił i zdolności, niech dalej sam dzie. Sądję, że chyba żaden z nich później żalu do mnie mieć nie będzie.

— Ja przynajmniej nie — odrzekł Władek. — Niech

tam sobie Wiktor udaje wielkiego człowieka i patrzy na mnie z góry, co mnie to obchodzi!

— Tak, mój synu, najlepiej zawsze nie dbać o nie mądrych i zarozumiałych a cenić tylko zdanie ludzi rozumnych.

Janka z niedowierzaniem wysłuchiwała zdania o Wiktorze. Jakto, taki miły, wykształcony młodzieniec, miałby być próżniakiem i blagierem? To być nie może.

W następną niedzielę Wiktor przyjechał znowu do Hołoskowiec, i natychmiast zaproponował przejażdżkę po rzece, która płynęła stąd o parę wiorst. Janka przystała na to z radością, bo bardzo lubiła wycieczki czołnem. Władek zrobił tylko uwagę, że pogoda niepewna, ale Wiktor odpowiedział mu drwiąco, że skoro się boi deszczu, może zostać w domu.

— Ani ja ani ty nie mamy przyczyny bać się deszczu, ale dla Janki nie byłoby to dobrem, bo mogłaby się przeziębować, gdyż jest nie przyzwyczajona do przebywania ciągle na powietrzu — odrzekł Władek spokojnie.

— O, mnie się nic nie stanie, zresztą deszczu wcale nie będzie! — zawołała Janka.

— Widzisz, panna Janina daleko odważniejsza od ciebie — rzekł Wiktor.

Poszli więc ku rzece, zabrawszy z sobą małego Jasia, który niezmiernie był tem ucieszony.

Na nieszczęście pomimo poszukiwań, nigdzie czołna nie można było znaleźć, gdyż wszyscy rybacy popłynęli na połów, obaj chłopcy udali się wzdłuż brzegów na poszukiwanie, gdy nagle rozległ się radosny okrzyk Wiktora: Jest! jest!

Skoro reszta towarzystwa się zbliżyła w to miejsce, zostali czołno zepchnięte już na wodę, a Wiktora stojącego w niem z wiosłem w ręku.

— Panno Janino, Władku, eureka! Mamy czołno i dwa wiosła!

— Zkądże je dostałeś?

— Leżało sobie na brzegu przewrócone, więc przyszedłem i wziąłem..

— Bez pozwolenia właściciela?

— Wielkie rzeczy! Za powrotem mu zapłacę. Panno Janino, proszę siadać, a ty Władku nie marudź.

Janka usiadła na ławeczce z Jasiem, a dwaj chłopcy poczęli wiosłować. Czołno szło z biegiem rzeki, więc nie trzeba było wielkiego wysiłku ze strony wiosłarzy. Szybko mijali wysokie granitowe skały nadbrzeżne, kiedy nagle słońce się skryło a wielka, fioletowa chmura okryła niebiosy. Jednocześnie Władek zawołał:

— Wiktorku, to czołno nabiera wody!

— Co też ty gadasz; zresztą to tak tylko trochę, z początku, gdyż rozeszło się na słońcu, gdy namoknie, wszystko pójdzie dobrze..

Tymczasem na niebie błysnęło raz i drugi i przeciągły grzmot rozległ się, powtarzany przez echa skał nadbrzeżnych. Woda przybrała barwę atramentu i poczęła się marszczyć, przy brzegach ukazała się biała piana. Janka na ten widok trochę się zlekła, ale Wiktor zaczął ją uspokajać, mówiąc, że umie doskonale wiosłować. Lecz Władek znowu zawołał:

— Wiktorku, czołno do połowy napełnione wodą!

— To ją wybierz — odrzekł Wiktor niedbale.

Władek począł wyczerpywać wodę, która jednak znów dostawała się szparami, znajdującymi się w dnie czołna. Burza tymczasem rozegrała się na dobre, silny wiatr się zerwał i począł podnosić fale na rzece i giąć łoża, rosnące na brzegu.

— Przybijmy do brzegu — poczęła prosić Janka głosem strwożonym, podczas gdy mały Jaś tulił się do niej.

— Niepodobna, przy brzegu wszędzie wiry i kamienie, trzeba zawrócić czołno — ozwał się Władek stanowczo.

Wiktor musiał uznać słuszność tej rady i spróbował zawrócić, lecz wiatr dał tak silny w przeciwnym kierunku, że niepodobna mu było tego dokazać. Wody nabierało się tak szybko, że Władek nie mógł nadążyć z wyczerpywaniem jej.

Janka siedziała badając twarze obu chłopców i ujrzała, że Wiktora opuściła zupełnie dawna pewność siebie, zbłądł

i ręce mu opadły. Natomiast Władek podniósł się nagle i rzekł do niego spokojnym lecz stanowczym głosem:

— Idź wyczerpywać wodę a ja zawrócę czółno.

To mówiąc, chwycił wiosło i stanawszy na samym dziobie, silnem pchnięciem zwrócił czółno w kierunku ukośnym by złagodzić gwałtowny napór prądu. Po chwili czółno płynęło w górę rzeki a Władek wiosłował z wysiłkiem, chcąc uciec przed deszczem, który zdala pokrył już białemi smugami niebo na skraju horyzontu. Grzmoty i pioruny co chwila rozlegały się nad ich głowami a ogniste węże błyskawic przecinały niebo na dwoje. Jaś tulił się ze strachu do Janki a Wiktor wciąż był bardzo blady i nie mógł zdążyć z wyczerpywaniem wody, która napływała do czółna. W końcu pot okrył mu kropkami czoło i zawołał na Władka:

— Prędej do brzegu bo utoniemy, ja już nie mogę wybrać wody...

— Ja się boję, ja nie chcę utonąć! — krzyknął Jaś, podczas gdy Janka blada i przerażona siedziała, drżąc jak we febrze.

— Nie, nie utoniesz, nie bój się — odrzekł Władek silnym głosem. — I ty Janko bądź spokojna, zaraz dobijemy do brzegu.

Wyraz jego twarzy był tak spokojny i stanowczy, że odrazu wlał zaufanie w duszę Janki. Poczęła uspokajać swego małego kuzynka i okryła go swoim szalem, by nie zmókł. Tymczasem czółno w istocie dobiło do brzegu szczęśliwie, wszyscy wysiedli, prócz Władka, który musiał łódkę oddać właścicielowi i dla tego popłynął w kierunku jego chaty o sto kroków dalej.

Wiktor, znalazłszy się na stałym lądzie, odzyskał całą pewność siebie, podał Jance rękę z dawną grzecznością i chciał udawać, że wcale a wcale nie czuł żadnego strachu, dopiero pod chłodnem spojrzeniem Janinki zmieszał się i zarumieniał widząc, że się poznała na jego tchórzostwie.

— Chodźmy, doprowadzę panią do domu, bo deszcz pada, pani jeszcze zmoknie — rzekł, próbując odzyskać pewność siebie.

— Dziękuję panu, wolę poczekać na Władka, a pan może wracać, jeśli się pan obawia zmoknięcia.

— Ja się go obawiałem tylko dla pani — odrzekł Wiktor coraz bardziej zmieszany.

— W takim razie zajdźmy do chaty rybaka — odparła Janka.

W istocie, był już wielki czas poszukać schronienia, bo deszcz puścił się na dobre i wkrótce spienione potoki pędziły ze skał ku rzecze. W parę minut całe towarzystwo znalazło się w rybackiej chacie. Właściciel łódki właśnie tylko co powrócił także i robił chłopcom wymówki za to, że wzięli bez jego wiedzy dziurawe czółno, którego on sam już nie używał.

— Toż gdyby, broń Boże, wam się przytrafiło co złego. to i jabym miał na sumieniu, a czy ja winien temu, że panicze bez mojej wiedzy biorą czółno.

— Wybaczcie Maksymie, głupstwośmy zrobili, ale już tego więcej nie będzie — odparł Władek wesoło.

— Oj, prawdę panicze mówią, że głupstwo, toż to głową można było nałożyć.

Wiktor czuł się nieco obrażony słowami wieśniaka i wyraził to Jance półgłosem.

— Cóż dziwnego, że tak mówi, on nie potrafi dobierać gładkich wyrazów, a my naprawdę, zasłużyliśmy na jego wymówki — odrzekła Janka.

Jaś dopiero w chacie przyszedł do siebie, zwłaszcza gdy Janka wzięła go na kolana i otuliła chustką wieśniaczką, biedny chłopiec, był bowiem bardzo zziębnięty i przerażony. Ale teraz nabrał znów ochoty i zaczął szeptać Jance:

— Wiesz Janko, ty będziesz teraz naszą siostrzyczką boś bardzo dobra.

— Ależ ja i tak jestem waszą siostrzyczką.

— Ale taką rodzoną siostrzyczką, taką samą jak ta co umarła. Bo ty może nie wiesz, że my mieliśmy siostrzyczkę Julcię, zupełnie taką samą śliczną jak ty...

— Jasiek, a nie wstydzisz się siedzieć na kolanach, taki duży chłopiec! — ozwał się Władek.

— Kiedy Julcia mię nieraz brała na kolana, choć była od niej młodszą — rzekł malec.

— On wcale nie ciężki, a ja chciałabym być podobną do Julci, o której słyszałam, że była bardzo dobra...

— O, był to anielski charakter — odrzekł Władek z niezwykłym u niego zapalem. — Pamiętam, że gdyśmy po niej płakali i rozpaczali, babcia nam mówiła, że ponieważ była tak dobrą, więc Bóg ją chciał mieć u siebie między aniołami, i wierzyliśmy temu święcie, gdyż było to jakieś niezwykle dziecko. Nikt tak nie umiał rozchmurzyć i pocieszyć ojca, gdy był skłopotany, nikt tak nie pamiętał o wszystkich w domu, nikt nie potrafił tak załagodzić wszelkie sprzeczki i spory między nami, ludźmi, jak ona! słowem, był to promyk słońca w naszym domu. Od kiedy ona umarła, wszelki urok znikł z naszego życia rodzinnego.

— A ile lat miała, gdy umarła? — spytała Janka wzruszona.

— Dwanaście.

— Mój Boże, i w tak młodym wieku potrafiła już zastawić po sobie podobne wspomnienie! — pomyślała Janka. — Czemże ja jestem wobec niej? Czy gdybym umarła, żałowaliby za mną i wspominalo w ten sposób, jak ją wspominalą. Prawda, moja biedna mama kochała mię bardzo, ale wcale nie dla moich zasług i przymiotów, bo ich wcale nie miałam.

Tymczasem deszcz ustał i siedmiobarwna tęcza ukazała się na chmurach, a po chwili słońce się ukazało, ukośnym swym promieniem oświetlając skały nadbrzeżne. Całe towarzystwo powróciło wesoło do dworu, tylko Wiktor był jakoś zmieszany i na następną niedzielę nie pokazał się już w Hołskowcach, ale Janka nie żałowała tego; teraz się przekonała dopiero, jak można się omylić ceniąc człowieka tylko wedle jego powierzchownych zalet. Dla Władka zaś okazywała odtąd prawdziwie siostrzaną przyjaźń, bo poznała w chwili niebezpieczeństwa, że posiada charakter na który liczyć można w każdej trudności.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Galicyi 10 koron, a w Księstwie Poznańskiem marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguną północnego przekład K. P. (z ryc.) — Cuda zimy, wiersz przez * * * — St. Kramsztyka, Pod śniegiem i pod lodem. — Tatry (z ryc.) — Marya Łopuszańska, Na pustyni. — Dodatek: Pogrzeb wróbelka przez p. P. Gr. (z ryc.) — Wąż i żółw, wiersz. — List, komedyjka w jednej odsłonie. — Bracia jaszczurkowie. — Zamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Ценаурою. Варшава 29 Декабря 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

WIECZORY RODZINNE

POGRZEB WRÓBELKA.

— Mamo! mamo! Jaś złapał ślicznego wróbelka, pozwól mi go trzymać w klatce w naszym pokoju. Ja tak lubię ptaszki — mówiła siedmioletnia Janinka, całując matkę w rękę.

— Jeśli je lubisz — odparła matka — to nie powinnaś przyczyniać im przykrości. Ptaszkom ciężko znosić niewolę.

— Kiedy mój wróbelek jeszcze taki maleńki! — tłumaczyła dziewczynka — nie umie dobrze fruwać. Bra-

do niej w odwiedziny kuzynka Józia i przywiozła z sobą cały stos nowych zabawek, Janinka przestała zupełnie zaglądać do biednego ptaszka. Kiedy po dniach kilku bracia zapytali dziewczynkę co się dzieje z jej małym wychowankiem, ona pobiegła do klatki, ale jakże smutny przedstawił się jej widok! Wróbelek leżał martwy z przymkniętymi oczkami, dzióbkiem nawpół otwartym, jakby chciał skarżyć się na ciężką dolę swoją! Janinka rozpłakała się i gorzkie czyniła sobie wyrzuty za niespełniony obowiązek, który stał się teraz dla niej przyczyną takiego strapienia! Bracia widząc ją tak zasmuconą, postanowili wyprawić wróbelkowi świetny pogrzeb. Jakoż rzeczywi-



Pogrzeb wróbelka.

cia mówią, że starsze ptaki mogłyby go zadziobać, a ja tak go będę pieściła, tak mu będę dogadzała, że on musi się do mnie przywiązać. Pozwól mi go chować, moja droga mateczko!

— Pozwalam, ale pod warunkiem, że będziesz o nim pamiętała zawsze, bo to nie drewniana lalka, którą nabywszy się, można porzucić; wróbelek jest żyjącą istotą, potrzebującą zarówno jak ty pożywienia i powietrza. Jeśli więc bierzesz go w swoją opiekę, musisz mieć o nim staranie. Jest to obowiązek, a z każdego obowiązku wywiązać się należy sumiennie.

— Nigdy o wróbelku nie zapomnę, zobaczy mama! — upewniała Janinka — podzielę z nim każde ciastko, na niczem mu zbywać nie będzie.

Istotnie, w pierwszych dniach Janinka co chwila dawała wróbelkowi zboże, odmieniała wodę, wysypywała czystym piaskiem klatkę. Po tygodniu jednak gorliwość ta schłodła; raz nawet zapomniała przynieść mu wody następnie zaś dać pożywienia, a gdy wreszcie przyjechała

ście, pogrzeb ten odbył się bardzo pięknie. Na przodzie szła kuzynka Józia z chorągwią zrobioną z fartuszka, za nią bracia Janinki nieśli wróbelka w pudełeczku wysłanym miękką trawką i przysypanym kwiatami. Na końcu orszaku postępowała zapłakana Janinka, czyniąc silne postanowienie, że odtąd nie zaniedba żadnego obowiązku, pomnąc na słowa mamy: że przyjmując jakiś obowiązek, należy się wywiązać z niego sumiennie, gdyż inaczej stać się on może gorzkiego strapienia przyczyną.

P. Gr.

WĄŻ I ŻÓŁW.

— Ach żółwiu! jakże ciężka twa dola na świecie;

Rzekł wąż — gdy dom ci zawsze na grzbiecie spoczywa!

— Tak sądzisz? — żółw odpowie — lecz ja myślę przecie,

Że mądrym — pożyteczny ciężar lekkim bywa.

LIST

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

OSOBY.

JUREK
LUCYŚ
NATALKA } Rodzeństwo.
ANUSIA, wiejska dziewczynka.

(Scena przedstawia pokój szkolny, po jednej stronie drzwi, po drugiej okno otwarte; przy stole zarzuconym książkami siedzi Natalka i Lucyś, pisząc z zajęciem, Jurek z książką w ręku chodzi po scenie).

SCENA I.

JUREK (zatrzymując się przy stole). Nie chciałeś Lucysiu czytać tej książki, zdawało ci się, że będzie nudną, tymczasem zupełnie jest przeciwnie.

LUCYŚ. Więć zajmująca?

JUREK. Bardzo. Czytam właśnie teraz przygody młodego podróżnika. Zatrzymałem się w miejscu, gdzie bohater, spotkawszy jakieś dzikie zwierzę, mdleje na jego widok z przestachu i spada w przepaść.

LUCYŚ. Co ty mówisz Jurku! On zemdlął ze strachu? A to tchórz dopiero! To mi mężczyzna!...

NATALKA. Cóż się tak dziwisz? Zwierz dziki mógł go przecie poszarpać.

JUREK. Moja Natalciu, tobie się to dziwnem nie wydaje, bo jesteś dziewczynką, nie możesz więc być odważną.

NATALKA. A czy to dziewczynki nie mogą być odważne? Już wy chłopcy, chcielibyście wszystkich zalet im odmówić.

LUCYŚ. Trudno, nie przerobisz już tego porządku na świecie, zawsze wy dziewczęta będziecie jednakowo tchórzliwymi, gdy tymczasem najpierwszą naszą zaletą jest odwaga. Niektórzy tylko chłopcy stanowią wyjątek, jak na przykład ten, o którym Jurek czytał.

JUREK. Gdybym się z nim kiedy spotkał, tobym go dopiero wyśmiał, nie śmiałby już na mnie spojrzeć!

NATALKA. Ciekawa jestem, co byś ty uczynił, będąc na miejscu tego chłopca?

JUREK. Ja? Możesz być pewną, że nie mdlałbym ze strachu, tylko śmiało stanąłbym wprost dzikiego zwierza, a gdybym widział niebezpieczeństwo, przebiłbym go zaraz nożem.

LUCYŚ. Ach! jakżebyś chciał być kiedy w takim położeniu!

NATALKA. Z pewnością krzyczałbyś ze strachu, tak głośno, że na parę mil by cię słyszano.

LUCYŚ. Widocznie sądzisz po sobie.

NATALKA. Może być, bo ja przyznaję otwarcie, że nie wiem, co uczyniłabym, spotkawszy dzikie zwierzę, możebym krzyczała, może zemdlalabym, jak ten chłopiec, a może umarłabym ze strachu.

JUREK. Och! dziewczęta, jakie z was niedołężne, słabe istoty!

LUCYŚ. Jak to dobrze, że jestem mężczyzną!...

NATALKA (niecierpliwie). Dalibyście spokój tej nieporęcznej rozmowie. Lepiej Lucysiu kończ swoje zadania.

LUCYŚ. Nie lubisz prawdy słuchać? No, nie dziwię ci się, bo to nie zawsze przyjemne.

JUREK. Ale rzeczywiście, kończ zadania Lucysiu, to pójdziemy do ogrodu.

LUCYŚ (zamykając kajet). Już skończyłem, możemy iść zaraz.

NATALKA. Zaczekajcie chwileczkę, ja też już skończyłam swoje, pójdziemy razem.

JUREK. Nie potrzeba; my z dziewczętami nie chodzimy.

LUCYŚ. Możesz sobie iść osobno. (Wybiegają).

SCENA II.

NATALKA (wzdychając smutnie). Mój Boże! co ja im złego uczyniłam, że oni tacy niedobrzy dla mnie?... Ja ich tak kocham, nigdy się w niczem nie sprzeciwiam, a oni wyśmiewają się ciągle ze mnie; ile razy się odezwą, zawsze z jakim przycinkiem, lub drwinkami, nigdy się nie chcą bawić ze mną, mówiąc, że nie potrzebują zadawać się z dziewczętami. Teraz na przykład tak niegrzecznie mi odpowiedzieli... Nie chcieli czekać na mnie, pobiegli bawić się do ogrodu, a książek swoich nie pokładali. Jak zwykle, tak i dzisiaj muszę to za nich zrobić, bo nie lubię nieporządku. (Układa książki i kajeta). Dawniej, to oni byli lepsi trochę, dopiero przyjaźń z Józkiem tak ich zepsuła. To chłopiec zarozumiały, niegrzeczny, podburza ich tylko na mnie. Oni zupełnie przejmują jego charakter. (Wchodzi Anusia).

SCENA III.

ANUSIA. Panienska jeszcze tutaj przy książkach? Myślałam, że w ogrodzie, bo w altance słyszałam takie śmiechy wesołe.

NATALKA. To Jurek z Lucysiem zapewne się teraz bawią, ja z niemi tam nie jestem, bo muszę zrobić porządek z książkami.

ANUSIA. O! niech się panienska nie tłumaczy. Ja wiem dla czego panienska się nie spieszy do paniczów.

NATALKA. Więć dla czego Anusiu?

ANUSIA. Bo panicze nie chcą się bawić z panienką.

NATALKA. Ech, zdaje ci się...

ANUSIA. Nie panienczko, nie zdaje mi się; znam paniczów dobrze i chociaż to są bracia panienki, powiem otwarcie, że nie są dobrzy, a zarozumiali!...

NATALKA. Młodzi jeszcze bardzo, później z wiekiem przybędzie im rozumu.

ANUSIA. Ach! panienska przecież młodsza od pana Jerzego, a jednak rozsądniejsza i lepsza. Nawet powiem, że zadobra; bo ja przecież złą nie jestem, a jednak nie wytrzymałabym z takimi braćmi. O! jabym im tak nie ustępowała!

NATALKA. Wiesz o tem Anusiu, że sprzeczek nie lubię, wolę więc ustąpić.

ANUSIA. Wiem, wiem, że panienka to anioł prawdziwy, ale znowu nie trzeba tak pozwalać paniczom. Żeby tu była panna Regina, to zaraz spletałaby im jakiego figla.

NATALKA. Pocziwa Renia! Jakżebyś chciała, żeby ona przyjechała.

ANUSIA. Niech panienka napisze do niej, poprosi ładnie, to może przyjedzie. Zaraz cały dom rozweseli, a paniczom trochę nadokucza.

NATALKA. Kto wie, czy nie dobrze mi radzisz Anusi! Wujek wkrótce przyjedzie do nas, napiszę więc do Reni, żeby korzystała z tak dobrej okazji (*wybiega*).

(d. n.)

BRACIA JASZCZURKOWIE

(Dalszy ciąg).

Blask stawał się coraz silniejszym, niebo coraz złościszą przybierało barwę, aż wreszcie promień ostry, jaskrawy, strzelił wysoko w górę ponad widnokrąg. Za nim drugi, trzeci, dziesiąty, setny, aż w końcu wspaniała tarcza słoneczna ukazała się na niebie, lejąc światło na wsze strony, światło, którego siły prawie żaden wzrok nie wytrzyma.

Olśnieni, odwrócili główki, lecz nowe czekało ich zdumienie: Złote promienie milionami iskier rozsypały się po ziemi; każde ziółko, każde trawy ździebełko lśniło w słońcu i migotało kroplami rosy, w którą się ziemia przystraja nocą, gdy wszystko śpi.

I ponad ich głowę gwar się wszczął wraz ze wschodem słońca. Mile brzmiące tony spływały ku nim z drzew pobliskich; a gdy spojrzeli przed siebie, spostrzegli nieznaną jakąś istotę, która, unosząc się w powietrzu, dzwoniła pieśnią wesołą. I w krzakach szczebiotały ptaszki, przeskakując z gałązki na gałązkę; nie wiedząc jednak czy to przyjaciele, czy wrogowie, braciszczowie leżeli cichutko, czekając, co dalej będzie.

A cóż to znów za stworzenie usiadło tuż przy nich na zielonem ździebełku? Maciupenka odrobina, skrzydełka miała przejrzyste, tułów blado zielony i cieniutkie nóżki, któremi się trawki chwytala. Wszyscy czterej zwrócili ciekawe spojrzenia na dziwne zwierzątko, jakby chcieli przeniknąć, co za pożytek może być z niego,

Nagle Chyżomir rzucił się na nieznajome stworzonko, chwycił je ząbkami... i pożał!

— Tak mi się coś zdawało, że muszę zjeść to zwierzę... więc zjadłem je. Pysznie smakowało.

— Wiecie co — rzekł Mocobój — popatrzmy, czy się co więcej nie znajdzie; mnie także... tak jakoś... niby się jeść chce.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, zamilkł przerażony i zwrócił głowę w stronę lasu. Bracia poszli za jego przykładem i spostrzegli kogoś... było to zwierzątko zupełnie do nich podobne, tylko o wiele większe i ciemniejszej nieco barwy. Kłopotek tak się nastraszył, że niewiele myśląc, czmychnął do nory.

— Nie bójcie się — zawołała, zbliżając się jaszczurka — nie bójcie się; jestem waszą mamą, a wyście moimi ukochanymi dziećmi.

Ze łzami radości całowała swoich synków i mówiła:

— Ach, żebyście wiedzieli, jak smutne miałam przeżycia! Zdawało mi się, że was nigdy nie zobaczę. Ale teraz, gdy was przyciskam do serca, znowu żyć pragnę; nowa otucha wstępuje we mnie.

Następnie mama jaszczurka powiedziała synom, jakie są ich imiona, dodając wzruszonym głosem:

— Troje tylko dzieci widzę... a powinno was być czworo!

Słów tych nie domówiła jeszcze, gdy cieniutki głosik zawołał tuż za nią:

— Jestem, jestem, mamusi!

I najmłodsze jaszczurzątko wyskoczyło z kryjówki.

— Mój Kłopotek! O mój drogi Kłopotek! — zawołała matka, całując maleństwo. — Ach... to najpiękniejszy dzień w moim życiu!

Po chwili mówiła znowu:

— Jak daleko sięgniecie okiem, wolno wam jest polować. Możecie łapać komary, co się na ździebełku kołyszą, i muszki, co w promieniach słońca się grzeją; ścigajcie chrząszczyki i boże krówki, a tłustymi robaczkami nie trzeba gardzić: poczwarki i gąsieniczki to także wyborne przysmaki.

Chyżomir pochwalił się, że mu się już udało złapać jakieś zwierzątko; z opisu poznała matka, że to była mszyca.

— Jeszcze jedno, kochane dzieci; przedewszystkiem musicie się strzedz wszelkich większych zwierząt. Gdy przeczuwacie niebezpieczeństwo, szukajcie natychmiast zacisznej kryjówki; jeżeli zaś nie opamiętacie się w porę i nie czas już uciekać, wtedy pozostaniecie bez ruchu, ani mru mru, to nieprzyjaciel was nie dostrzeże. Żółtawoszarą sukienkę dała wam umyślnie Opatrzność, barwa to ziemi i kamieni, i to podobieństwo chroni was przed wrogiem, bo gdy przycupniecie pod bruzdą, nikt was od siebie nie rozróżni.

Coby wam jeszcze należało wiedzieć, nauczycie się od ciotki żaby; zachowajcie się wobec niej z szacunkiem, a jej małe słabostki niech wam nie dadzą zapominać o poważaniu, jakieście winni wiernej, starej przyjaciółce waszej matki. No, a teraz muszę spieszyć do domu, zarządzić, co potrzeba na wasze przyjęcie. Pilnujcie mi tymczasem Kłopotka, żeby mu się co złego nie stało.

Matka odeszła, a czterech braci zostali sami. Niebawem Mocobój złapał sporego jelonka; ciężko mu było dać sobie z nim rady, ale chwycił go wpół z całej siły i póty nim rzucał, póty go przyciskał do kamienia, aż go pokruszył na drobne cząstki; dopiero wtedy zjadł go ze smakiem. I Kłopotkowi dostał się kawałeczek. A Grubosławowi jak się wybornie trafiło! Tuż przed jego nosem wylazła z ziemi stonoga: ani się Grubosławek nie potrzebował trudzić, klapnął tylko pyszczkiem i już.

Chyżomir tymczasem skradał się za muszkami i łapał je w locie z nadzwyczajną zręcznością.

Im więcej wznosiło się słońce, tem więcej świat im się podobał; ale gdy zaczęło zanadto przypiekać, schronili się do cienistej jaskini pod korzeniami buku. Tu sobie

gawędzili o tem i o owem; o cioci żabie, którą ciekawi byli poznać, aż nagadawszy się dowoli, zdrzemnęli się wszyscy czterej.

(d. c. n.)

SZARADA

przez E. M.

Pierwsze wykrzyknik, co przez ostre brzmienie
Wyraża zwykle nasze zniechęcenie.
Przymkiem drugie, góry *wszystko* mianem,
Która jest w Europie największym wulkanem.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Zapełnić kropki literami, aby
litery, oznaczone gwiazdkami, zło-
żyły nazwę mitologicznego pogromcy
smoka, przez ukrycie ognia w podrzuco-
nej mu ofercie. Rząd 2) Miasto gub. w kró-
lestwie polsk. 3) Góry w połud. Ameryce.
4) Zwierzę drapieżne, domowe. 5) Miejsce uro-
dzenia Abrahama. 6) Spółgłoska.

NITECZKA ARYADNY.

Chł	ci	ja	lu	o	To	bie	stwem
pek	chł	w po	rzę	ła	Bo	ni	się
pek	sół	do	chwa	że	le	brzy	ty
we	brze	je	z pra	ję	dzę	bo	za
mi	dzie	cy	ru	za	ro	dnej	wsty
się	nie	cho	dnej	się	nie	po	dzę

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go:

Szarady: Ho — ra — cy.

K a r l s b a d
K r a s i c k i
R o z m a r y n
P r z y i m e k
K r z y ż a c y
W a r s z a w a
I n s b r u c k
K i e j d a n y

Skrzynka do listów.

P. Natalii Szre: Omyłkę sprostowaliśmy, mamy obecnie rs. 4 kop. 25, do całkowitej więc opłaty brakuje tylko 75 kop. lecz prosimy bardzo o dodanie adresu swego przy każdym poleceniu.

Pani hr. Gr. w Strzyżawce. Wieczory według życzenia wysyłamy, ciesząc się niewymownie, że czytelnicy są z nich zadowoleni.

Kóze (Józi Ł) Książkę posłaliśmy przez okazyę, która nam liścik doręczyła. Za życzenia i przysłane skrawki dla zakładu paralityków serdecznie dziękujemy.

Jaskółka wyjechała obecnie na tydzień z Warszawy, za powrotem, na listy pisane do niej sama odpowie.

Liściki *Oleńki* i *Magdzi* z Mławy, wielką nam sprawiły przyjemność. Z zajęciem zawsze czytamy szczegóły o Dziębie i braciszkach, a tym więcej gdy obok nich mieszczą się inne dla nas zajmujące wiadomości, jak opisy choinki, otrzymanych i danych nawzajem podarków. Cieszymy się też, że podobały się książeczki. oraz drukowany w Wieczorach „Dług ojcowski”, bo to ładna bardzo powiastka. Za przesłane nam noworoczne życzenia dziękujemy.

Nieszczęśliwe dzieci kaleki, serdecznie wdzięczne Stasi, Niuni i Ninie za przysłanego rubla.

Wróżbiarce szczęścia wręczymy z naszej strony rozwinięcie pomysłu jej zdolności, gdy wczytywać się zacznie pilnie w utwory naszych pisarzy, zalecane jako wzory stylu i nabędzie z czasem potrzebnej do pisania wprawy. Powiastce przysłanej nie mamy nic do zarzucenia, prócz tego, że treść jej nieraz już podawaną była w utworach dla dzieci. Niedawno nawet w Wieczorach (w dzień zaduszny) drukowaliśmy historię dziewczynki sieroty, której losy były podobne do losów Jadzi.

Szarotce tatrzańskiej serdecznie dziękujemy za jej miły liścik, zjednać sobie w ten sposób serca naszych kochanych czytelników jest najgorętszym naszym życzeniem, pragniemy też bardzo, aby szesnastoletnie staruszki, a nawet i nieco starsze, zechciały wraz z młodszymi swymi siostrzyczkami, jak to bywało dawniej, nadsłać nam swoje roboty dla ubogich dzieci, a jeżeli tego nie czynią, to już nie nasza wina... Dla tego serdecznie wdzięczni jesteśmy kochanej Szarotce za przykład godny naśladowania.

Stasi Kościusz... w Gródku. Wieczory wysyłamy. „Orla skała” równie jest posłaną. Za kop. 50 w imieniu ubogich dzieci dziękujemy.

Hali Tom. Żądana książka wysłana, ale wątpimy aby doszły przed świętami, bo list z tem żądaniem przyszedł już dość późno. Niestety pisma dla młodego wieku w tym rodzaju co Wieczory wskazać nie możemy innego nad to, którego Hala właśnie mieć nie chce.

Marylce K. serdecznie dziękujemy za przysłane rzeczy dla biednych, uszyte tylko w części jej ręką dla bólu paluszka. Biedne dzieci modlić się będą, aby Bóg dopomagał Marylce we wszystkich zajęciach.

Anieli R. dobre nadesłała rozwiązanie łamigłówek.

Uboga dziewczynka serdeczne dzięki zasła *Steli K.* za przysłane dla niej rzeczy swej roboty. Modlić się też będzie i za namusię, która nauczyła córeczkę pamiętać o ubogich, sama jej pomagając w pracy. Cieszymy się, że książeczka się podobała.